

SPRAWA

DWUTYGODNIK POLSKIEGO INSTYTUTU: "MIECZ DUCHA"

ADRES REDAKCJI: 27 GROSVENOR STREET, LONDON, W.1

Telefon: MAY 2928

Rok III No. 9

NIEDZIELA 28 MAJA 1944

Cena 3d.

JAN REMBIELIŃSKI

MATERIALNIE TO NIEOPLATNE . . .

W PRZECIWIENSTWIE DO KONCOwego stadium pierwszej wojny światowej i do wcześniejszych faz wojny obecnej, coraz to rzadziej dziś słycać o wielkich idealach, jako uzasadnieniu krwawych wysiłków i ofiar. Hasła wolności i równości narodów, prawa co wiąże nie tylko słabych lecz i silnych, tak wyszły już z użycia, jak stałe, wspólne konferencje przedstawicieli narodów sprzymierzonych, niegdyś z takim rozgłosem odbywane w Londynie, w St. James' Palace, w 1941 roku...

Wprawdzie przedinwazyjny nastrój wzmocnił ostatnio w dziennikach nawoływania do walki z Nazizmem, lecz i tutaj, czuć wstrząsliwość, jakby lęk przed precyzowaniem w sposób bliższy, co w Rzeszy hitlerowskiej uważa się za potworne i zbrodnicze: Czy łamanie traktatów, najuroczystszych zobowiązań, a w szczególności paktów o nieagresji z sąsiadami? Czy zaborczość niesytą, najazdy na państwa inne i ich włączanie siłą do Związku Niemieckiego? Czy ustroj totalistyczny, brak niezależnej opinii i dyktatorskie rządy jednej partii? Czy materializm bezbożny rządzącej ideologii, do gruntu sprzeczny z chrześcijańskim na świat poglądem?

Zarówno prasa natomiast, jak przywódcy polityczni, z coraz rosnącą gorliwością powtarzają, jaki dobrobyt materialny spłynie na świat po tej wojnie, jaka wygoda, jakie zabezpieczenie przed niedostatkiem... Obywatel brytyjski widzi w dziennikach fotografie, a na wystawach modele praktycznych domków, kuchenek nowoczesnych, doskonałych lodowen, które umiłą mu bytowanie po zwycięstwie. Wobec narodów kontynentu, dziś ujarzmionych przez Hitlera, ta sama linia jest w propagandzie utrzymana: w audycjach B.B.C. mało słyszą one zapewnień o odzyskaniu dawnych swych praw i granic; przyszły zarząd ich krajów, jego uprawnienia, strefy okupacyjne do których mają być wcieleni, — wszystko jest zastawione ponoc decyzjom komisji Europejskiej, złożonej z przedstawicieli "wielkiej trójki." Natomiast ustawicznie daje się im informacje o zapasach żywności, jakie armia inwazyjna przywiezie, o śpichlerzach w tym celu zapelnionych aż po pułap po obu stronach Atlantyku, o gotowych ubraniach dla odziania obdartej Europy. I znów zapowiada się im, jak, po pomocy doraźnej, porządek powojenny sprowadzi powszechny dobrobyt, powszechnie bezpieczeństwo w dziedzinie gospodarczej, powszechnie podniesienie się stopy życiowej...

Plany są piękne bardzo, potrzeby — rzeczywiste, pragnienia zaspokojenia ich — naturalne i rozumiałe. Czemuż więc i w Brytyjskim społeczeństwie, i w ujarzmionej Europie, entuzjazm, jaki budzą, nie wydaje się zbyt gwałtowny, czemu nie tylko lodownia pozostawia ludzi chłodnymi, ale nawet kuchenia rozgrzać ich serc nie potrafi?

Zdaje się, że — jak to zwykle bywa — reakcja tak jednorodna ma swe podstawy, że objawiają się w niej: zdrowy rozsądek mas brytyjskich oraz rozważa starych narodów Europy. To zachowanie się bowiem świadczy o rozumieniu, świadomym czy instynktowym, tej wielkiej zmiany, jaką w następstwach wojny, a stąd w jej celach, musiał wywodzić postęp techniczny czasów nowych.

W epokach pierwotniejszych, od lat niepamiętnych, wojna okazywała się najlepszym interesem gospodarczym. Przy minimalnym wkładzie na broń, wozy, konie, zwycięzca ścigał okup bogaty z wroga, powracał obciążony skarbami zdobycznymi, wiodąc gromady jeńców do pracy w rzemiośle i na roli. Niekosztowne wyprawy drobnych, pirackich fregat dawały w zysku Golconda zamorskich królestw. Wojna przez długie wieki była najskuteczniejszym środkiem na trudności ekonomiczne państwa, uzupełniała niedobory w jego kasach, była przyczyną zamożności jego mieszkańców.

Dziś położenie całkowicie się jednak zmieniło.

Rozwój techniki nowoczesnej zwiększył koszty wojny do rozmiarów poprzednio niespotykanych. Według budżetu ostatniego sama Wielka Brytania wydaje na nią ponad £15.000.000, dziennie. Podobne sumy — nawet wyższe jeszcze — są poświęcane przez inne wielkie mocarstwa. A są to tylko przecież wydatki budżetowe, bez doliczenia zniszczeń wywołanych okupacją wroga, zużycia substancji majątkowej na skutek rabunkowej gospodarki, zmniejszenia się zdolności wytwórczych ludności.

Każdy człowiek doręczny wie, iż tych strat przeobrzymych (które wzrastają w sposób przerażający z dnia na dzień) nie wyrównają nawet w części odszkodowania, ściągnięte z wrogów, chociażby narzucono im "kapitulację bezwarunkową." Wie on, że po tej wojnie i zwycięzcy i zwyciężeni znajdują się w świecie

zubożalym i spustoszone, w warunkach życia gorszych, cięższych, twardszych, niż przed rokiem 1939: w obliczu ruin miast i warsztatów pracy, bogactw bezwrotnie posłanych na dno oceanów, wobec niebezpieczeństwa nawet braku pewnych surowców, tak bez pamięci dziś niszczonej i zużywanym. A co ważniejsze jeszcze, znajdują się jedni i drudzy wobec rzesz inwalidów, którym trzeba dać będzie utrzymanie, i wobec wyczerpania, fizycznego i nerwowego, tej całej reszty, co napozór została zdrową. I każdy człowiek doręczny zorientuje się, że chyba nie przez wojnę światową wiedzie droga najprostsza do... kuchenki, skoro za cząstkę tej sumy, która w przeciągu miesiąca na potrzeby wojenne jest wydawana, wszystkim mieszkańcom Anglii możnaby dać w upominku, oprócz kuchenki, jeszcze po złotym zegarku...

Jeśli jednak tak jest, jeżeli wojna nowoczesna pod względem materialnym zawsze jest nieopłatna, to z tego stanu rzeczy wypływa jeden wniosek, oczywisty i nieodparty: jedynym usprawiedliwieniem jej — w oczach współczesnych i historii — mogą być tylko zyski w dziedzinie moralnej. Materialne po wojnie zawsze nędza wrośnie, i u wygrywających i u pobitych; jedynym wyrównaniem przeto muszą być te zdobycze, których wartości inną miarą się mierzą. Jeśli z tej próby krawej świat wyjdzie lepszy, uczciwszy, jeśli mniej będzie w nim kłamstwa, przemocy, bezprawia, wówczas — i tylko wówczas — wojna ta się opłaci i na coś zdadzą się ofiary w niej poniesione. Podobnież naród poszczególny, tylko jeżeli wyjdzie z wojny z poczuciem, że walczył za słuszną sprawę, że wypełnił rzetelnie swe słowa i obiet-

nice, że czci jego żadna zdrada nie plami, będzie zdolny rzec sobie: iż z tych śmiertelnych zmagani wynosi korzyść istotną i niewatpliwą. I tylko to poczucie pozwoli mu znieść później trud i ubóstwo epoki powojennej, gdy przyjdzie mu pracą ciężką odrabiać stopniowo straty, którym podobne trudno znaleźć w dziejach.

A skoro do takich wniosków wiedzie proste obliczenie, to stąd wypływa jedna jeszcze konkluzja: oto większymi realistami okazują się ci właśnie, co pamiętają o moralnych celach wojny, niż ci, którym się marzy, że można je tracić z oczu, śniąc o wygodach powojennego dobrobytu. Zaiste bowiem, "romantykem" jest, kto sądzi, że starczy mieć moralność Huna czy Wandala, a wojna, dziś jak niegdyś, znajdzie uzasadnienie swoje w korzyściach materialnych, które można z niej ciągnąć.

WIKTOR STAN

POWRACAJĄCE WSPOMNIENIE



Rys. Jean Geddes

Każda osobistość, każdy fakt historyczny, jak tylko przeniknie do pamięci zbiorowej przybiera w niej postać jakiejś nauki moralnej, pojęcia lub symbolu; otrzymuje określony sens i staje się jednym z czynników społecznego systemu myślenia.

(Maurice Halbwachs "Les Cadres Sociaux de la Mémoire")

NAZYWAŁ SIĘ BARTEK SŁOWIK. BYŁ wielki, barczysty z płową jak zboże czupryną. Gdy do niego mówiono wytrzeszczał oczy. Sąsiedzi nazywali go: głupi Bartek.

Od czasu gdy Henryk Sienkiewicz opisał życie Bartka w pięknej noweli, cały świat zna naszego bohatera jako zwycięzcę spod Gravelotte i Sedanu. Nowela, przełożona na wiele języków, rozniósła po świecie sławę Bartka, sławę jego siły, męstwa i głupoty...

Zacznijmy od początku po krótko, ale ściśle według Sienkiewicza.

Rok 1870. W małej wiosce w poznańskim Bartek był właścicielem kawałka gruntu i chaty. Posiadał przytem dwie krowy, sroka tego konia, żonę Magdę i syna Franciszka.

Żył, jak Bóg dał. A gdy Bóg dał wojnę, trzeba było porzucić chatę.

— Chociaż głupi — narzekala Magda — jednak mi cię żal; Francuzi też ci nie popuszczą; głowę utna, albo co!

☆ ☆ ☆

Rezerwiści weszli do pociągu. Zaświstała lokomotywa.

— Bądź zdrow, Bartek — wołala Magda raz jeszcze.

W pociągu, po chwili milczenia, zaczęły się szepty.

— A na ten przykład — pyta Bartek Wojtka Gwiazdę — co to za naród te Francuzi?

— Co to za naród? Jak ci powiedzieli: musi takie Niemcy tylko jeszcze gorsze...

— O, ścierwa!

Bartek chciał jeszcze wiedzieć, czemu wysła się polskich chłopów na wojnę z Francuzami.

— Nie pójdziemy my — to przyjdą oni. Nie ma rady. Czytales co stało drukowane? Dycht najgorzej zawzięte na naszych chłopów. No, rozumiesz?

— A na baby ci też łakome, jak pies na szperkę.

Bartkowi stanęła przed oczami zabamucona przez Francuzów Magda. A pierwszej nawet nocy miał sen koszmarny.

Teraz nasi rezerwiści zbliżają się do linii frontu. Można się było tego domyślać choćby z obficie rozdawanych kufłów piwa i ciepłych kielbasek. Nawet sobie polskie chłopcy myślały, że te Niemce to jednak poczciwe ludzie.

Decydująca bitwa pod Gravelotte. Z początku Bartek bał się zdziebko, ale słowa Wojtka uspokoiły go: dziury w niebie nie będzie, jak jednego kpa zabiją.

"Bagnet na broń — naprzód," padła komenda. Poszli.

Wśród ryku dział, karabinowego ognia i dymu, wśród zamieszania i jęków — rozlega się głos pruskiej trąbki. Jeszcze Polska nie zginęła...

— Hurra — odpowiadają chłopcy — póki my żyjemy.

Już nie myślą o śmierci. Idą jak burza przez zwalone ciała ludzkie i końskie, przez złomy armatnie. U stóp pagórka, niemiecki generał zapala porcelanową fajkę i mówi z zadowoleniem:

— Im tylko to grać! Doszli zuchy!

— Bartek rzucił się w bój. Wytrzeszczonymi oczami dojrzał trzech żołnierzy Turkosów trzymających sztandar. Onby teraz samego diabła brał za rogi. Obalał jednego po drugim.

Turkos cofnęli się z przerażenia na widok tego oszalełego z wściekłości olbrzyma. Zawołali coś po arabsku, a w tym okrzyku Bartek wyraźnie usłyszał: Magda, Magda.

Zawrzała bitwa. Bartek, dotarłszy do chorążego, chwycił go żelaznymi palcami za gardło. Sztandar był zdobyty.

Teraz walka idzie z żuawami, którzy bronią dostępu do armat. Każde uderzenie otwiera wolną drogę w szeregach francuskich. Po chwili Bartek pierwszy, już siedział na armacie jak na własnej kobyli.

Trąbki orkiestry pruskiej wciąż grały: Jeszcze Polska nie zginęła...

Bitwa skończyła się całkowitym zwycięstwem. Generał Steinmetz ogląda sztandar, rozmawia przyjaźnie z Bartkiem, dekoruje go krzyżem i myśli nawet mianować podoficerem.

Za głupi, protestuje oficer, bezpośredni zwierzchnik.

By sprawdzić inteligencję Bartka, generał Steinmetz stawia mu pytanie:

— Kto wygrał dziś bitwę?

— Ja! — odpowiada nasz bohater uszczęśliwiony.

Tak, niestety za głupi. Czyż naprawdę był taki głupi nasz Bartek zwycięzca? Chyba jednak był, ale z innych powodów, które generałowi nie przyszły nawet do głowy.

Ale może i polityka generała, tak często stosowana przez Niemców — również nie była taka znowu bardzo mądra.

Tymczasem, idąc od zwycięstwa do zwycięstwa, dekorowany krzyżami i medalami, chwalony przez generałów — sam Moltke ponoc z nim rozmawiał — Bartek uważał się za równego każdemu Niemcowi. Ba! lepiej nawet. Alboż to dużo Niemców ma pierś tak udekorowaną.

Regiment polski został wycofany z frontu. Bartek nie chciał być wycofany. Wołał pozostać z nadchodzącym na pozycje pułkiem niemieckim.

Pod murami Paryża, zaszedł wszakże wypadek, który mógłby dać wiele do myślenia, gdyby myślenie wogóle było łatwiejsze dla tego bohaterkiego umysłu...

Kilka kompanii z pułku, w którym teraz służył Bartek, wysłano przeciwko batalionowi, wolnych strzelców.

Wolni jeńcy otoczeni zewsząd, bronili się zawzięcie. Byli to starzy żołnierze, rozbitki jakiegoś pułku legii zagranicznej. Wiedzieli co ich czeka. Bowiem każdy żołnierz nie noszący mundur regularnej armii francuskiej, a schwytyany z bronią w ręku miał być rozstrzelany.

Postawiony na warcie przy dwóch wolnych strzelcach, schwytyanych przez Niemców, Bartek przeżył ciężkie chwile.

Dwaj jeńcy rozmawiali ze sobą po polsku.

— Tak — mówił jeden — myślałem, że pobiją Niemców, Poznańczykom będzie lepiej.

— Ja też tak myślałem — odpowiedział drugi — ale teraz...

Dziwne uczucie szarpnęło Bartkiem. Jakże to? Przecież on rychły dla tych samych powodów chciał pobić Francuzów. Ciężko mu się zrobiło na duszy, a tymczasem coś szeptało do ucha: Bartek ratuj swoich.

Cóż on ma zrobić? Ucieknie z nimi do lasu? Czy co? Mocno zaszczerpiona pruska dyscyplina powstrzymała go: on, żołnierz — dezertować? Nigdy jeszcze tak moralnie nie cierpiął.

— O Jezu — wyje coś w piersiach Bartka — O Jezu!

Jeszcze chwila, a byłby się przyznał jeńcom, że i on jest Polakiem, polskim chłopem. Potem przez okno... w las... Niech się dzieje co chce.

Od strony sieni słycać było miarowe kroki.

To patrol niemiecki z podoficerem — zmieniał wartę.

☆ ☆ ☆

Wojna skończona. Bartek powraca do domu, dumny ze swoich wojennych wyczynów.

Zebrała się kompania w karczmie, by Bartka obejrzeć. Gawędzą — jak to w karczmie.

— Oj, wygrały Niemce straszną wojnę, wygrały, a myśma im pomagali — wdycha stary Maciej — ale co nama z tego przyjdzie, Bóg jeden wie.

I dalej snuł obrazy, że teraz Polakom będzie jeszcze gorzej.

— Co gadacie? A nieprawda!

Maciej popatrzał na Bartka przez chwilę.

— Oj, ty głupi!

Choć Bartek krzyknął, bił pięścią w stół, protestował — wspomnienie dwóch Polaków, rozstrzelanych przez Niemców pod Paryżem powracało jak wyrzut sumienia.

Tak, dziwne były te przewidywania Macieja, ale niedaleka przyszłość miała przynieść wydarzenia jeszcze dziwniejsze.

Pewnego dnia mały Franek powrócił ze szkoły płacząc.

— No, ty Franc! Co ci to?

Jak wynikało z relacji Franka, nauczyciel Herr Boegge dał mu po pysku. Przyczyną tej brutalnej kary był, jakby można powiedzieć, pewien relatywizm oceny. Nauczyciel zapytał dzieci, kto jest największym człowiekiem na świecie. Odpowiedź Franka nie wypadła po myśli pytającego. Z tą wielkością ludzi to ciężka sprawa. Często tak właśnie kończą się na ten temat dyskusje.

Odkąd Niemcy wygrali wojnę z Francuzami, Herr Boegge stał się tak dumny, że pozwalał sobie na wszystko. A przecież zasługa czy odpowiedzialność za to zwycięstwo spoczywała bardziej na bohaterze spod Gravelotte, niż na niemieckim nauczycielu.

Poszedł więc Bartek do szkoły — rozmówić się. Rozmowa dość szybko zmieniła się w bójkę, a bójka indywidualna w bójkę zbiorową, gdyż z pomocą Niemcowi przyszli koloniści, a z pomocą Bartkowi polskie chłopcy.

Cała ta historia skończyła się skandalem w prasie. Z nauczycielem jako z ofiarą polskiego barbarzyństwa i fanatyzmu religijnego współczuły wszystkie niemieckie dzienniki. Przytem skorzystały one z okazji, aby podziwiać liberalizm i dobroć sędzię, który skazał polskiego napastnika tylko na trzy miesiące więzienia i na zapłacenie stu pięćdziesięciu marek, tytułem odszkodowania dla pokrzywdzonych.

Była również interpelacja w izbie. Nie zapominajmy, że w tym czasie Niemcy były demokracją i miały parlament.

Gdy poseł polski wygłaszał przemówienie protestujące przeciwko przesładowaniu Polaków, na dworze deszcz padał, więc ziewali postawie, bo sennosc ich ogarniała. Ziewali konserwatyści, ziewali liberalowie, ziewali nawet socjaliści.

(Dokończenie na drugiej stronie)

Mgr. ALBAN ATKINS

WIKARJUSZ GENERALNY ARCHIDIECEZJI W LIVERPOOLU

MÓDLMY SIĘ ZA POLSKĘ

(Kazanie wygłoszone 3 maja 1944 w prokatedrze w Liverpoolu)

ŚLUSZNIE W DNIU DZISIEJSZYM Polacy zwracają się ku miłosiernemu Bogu w pokornej, szczerzej modlitwie: błagacie Go o Jego Boskie przewodnictwo, ofiarowujecie zadośćuczynienie Jego obrazonemu Majestatowi.

Zaden naród nie został pograżony w tak gorzkim cierpieniu, jak Polska, zaden naród nie stał się równie niewinną ofiarą okrutnych, sadystycznych przesładowań. Módlmy się dziś, aby Polska stała się przedmiotem najtkliwszego ludzkiego zrozumienia i współczucia; tak jak jej pierwszej wypadło odczuć brutalność i zbrodniczość t. zw. narodu panów, tak też niech ona pierwsza będzie uczczona i obdarzona trwale poczesnym miejscem między narodami.

Ślusznie zostało powiedziane, że sposób w jaki Polskę potraktuje się w odbudowie powojennego świata będzie sprawdzianem tego, czy istnieje właściwe pojęcie sprawiedliwości w duszach tych dostojnych mężów, którzy już w krótkim czasie będą ustanawiać i ustalać pokój między narodami.

Przeżyliśmy czasy niewiarygodne i mamy prawo zadać sobie pytanie: dlaczego i w jakim celu? Bo — trzeba sobie na wstępie powiedzieć — nie brakowało głosów przestrogi. To powszechne zło, które zwiemy wojną, jest być może w istocie siew i swoim źródle po prostu pychą, chciwością i zaborczością, ale rak toczy głębiej, ma on swe korzenie w apostazji narodów całych i w przeroście nacjonalizmu. Jest to choroba serc i umysłów ludzkich, która staje się później niebezpieczeństwem podnosząc broń przeciw czystemu i uczciwemu życiu innych ludzi. Raz po raz w ciągu ostatniego stulecia Papię zabierali głos, aby ostrzec, aby skarcić, aby napiętnować ze zgrozą wzbierającą falę materializmu, potępiając niemoralność polityki, stawiającej wzrost swego państwa, ponad nakaz Bożego prawa. Odpowiedź na pytanie: co się właściwie stało, nie jest zapewne łatwa; ale może być tylko jedna: wszystko wynika z porzucenia zasad chrześcijańskiej drogi życia.

Nie jest przypadkiem zgoda, że straszliwa wojna spada tak jakoby wojna była zarazą atakującą tkanki moralne i porażającą mózg człowieka. Nie jest to tylko nieszczęsny cios losu, który sprawił, że przywódcy narodów porzucili tę trochę zasad moralnych, które mieli, a obrócili się jawnie kalkiem do zaborów, łupiestwa, w końcu do pospolitej grabieży. To jest właśnie ta ohydna głowa przekłętą materializmu pogłębięno przetrwaną, niehoralną filozofią, materializmem podległym przez to właśnie, że wykluczył najmądrzejsze, najpiękniejsze i najświętsze pojęcia Wszchemocnego Boga. Obecna wojna, która w nas uderzyła jest w przeraźliwej sprzeczności z duchem Chrystusa, który był postanowił sobie mieszkać między nami, by w końcu doprowadzić nas do nieba.

Wojna stwarza mnóstwo zła pobocznego, fizycznego i moralnego. Jesteśmy świadkami nienasyconej żądzy zemsty, uczucia niechrześcijańskiego. Obserwujemy niezadowolonia i głośne szemrania, jakgdyby niedosyć jeszcze było trudności w głównej kampanii, którą toczymy. A przecież pretensje te nie

zawsze są bezzasadne: nawet w tej naszej kochanej Ojczyźnie, gdzie zadawione zło braku mieszkań i złe warunki pracy stają w poprzek woli i energii narodu ku zniszczeniu zła gorszego jeszcze i groźniejszego — nawet tutaj — najlepsi nasi ludzie zmuszeni zostali sięgnąć po broń bezwzględna i niemoralna, aby wywalczyć sobie sprawiedliwość. Jesteśmy świadkami zaciekłej walki, wynikłej ze starcia się dwu lojalności, a prowadzonej nazbyt często aż do lenia władzy i pogardzenia wszelkimi jej formami, poza tą jedną, która obiecuje dobrobyt materialny... Te ubolewania godne stosunki wśród nas nie są wynikiem złej woli, w każdym razie nie w niej leży wina główna: są one skutkiem ludzkiej niekompetencji, braku koncepcji światłej i dalekowszyczej w naszym ustawodawstwie społecznym. Można jednakże żywić wątpliwość: w jaki sposób ci, którzy zawiedli w przeszłości, mają na przyszłość wspaniałymi poszczycić się sukcesami. Bezsrobnia przyszłość nie rysuje się pomyślnie, bo sprawy ducha już zepchnięto na plan drugi. Ludzie snią sny próżne o utopii, jakgdyby same męki i wysiłki wojenne usunęły już z natury ludzkiej podstawową słabość, jaka tkwi w każdym z nas, mianowicie grzech pierworodny. Ludzie prawią i snują projekty działań, jakgdyby sama wojna niesła z sobą to oczyszczające błogosławieństwo, że przetrwawszy ją dzielnie i wytrwale już przez to samo staniemy się anielskimi istotami. Niestety, więcej jeszcze musimy przetrwać: Musimy stoczyć w naszych sercach, jako jednostki, jako naród, jako społeczność narodów, walkę przeciw najgłębszemu złu i słabości, wynikającym stąd, że przestaliśmy być w stanie łaski. Według słów św. Pawła: *Albowiem mamy boj przeciwko duchowym złościom na wysokościach* (Ef. 6, 12).

Muszą pozostać na świecie nie tylko zdrowy rozum i pospolitą sprawiedliwość i zwykłe miłosierdzie. Dla odbudowy świata konieczną jest również, jak zawsze, Łaska Boska, która by wlała prawdziwą mądrość w ludzkie umysły, wołę napełniła umiłowaniem dobra, serca zmięczyła słodyczą dla bliźnich, aby w swych subtelnych kalkulacjach nie skazywali słabszego na zgubę, aby, nawet w najmniejszej mierze, zło nie świeciło tryumfu i aby blask Chwały Bożej nie został zaciemniony.

Zaden naród nie ma większego od Polski prawa do radości, skoro powstaje ona ze swej tragicznej żaloby, gdy zbliża się radosna godzina pokoju. Zaden naród nie ma więcej powodów do dziękczynienia Bogu za Jego nad nim Opatrzność, za odwagę i wytrwałość naszych wojowników. Ale wedle słów Ojca św. Piusa XII "nasza najdroższa Polska ma prawo do braterskiego, wspaniałomyślnego współczucia ze strony całego świata" i, być może, zaden naród nie ma więcej od niej powodów, by boleśnie troszczyć się o to, co się jeszcze nie stało, — aby słusznosc i sprawiedliwość wzięły górę nad przemocą oraz nad przyziernym duchem kompromisu.

Cóż więc czynić nam trzeba? Niechaj ta modlitwa święta spleynie z warg naszych: Zstąp Duchu święty, napełnij serca wiernych i roznieć w nich płomień

miłości ku Tobie; ześlij Ducha Twojego, a będzie odnowione oblicze ziemi. Niechętnie, niemal wbrew własnemu przekonaniu, lecz ostatecznie jednak uczciwie przed Obliczem Boga, zmuszeni byliśmy wy dobyć miecz z pochwy w obronie naszego honoru i naszego prawa, a przede wszystkim, ku wieczystej chwale tego kraju, który daje wam pomoc i schronienie. — bezpośrednio w obronie napađniętej Polski. Niewątpliwie głębokie poczucie honoru, pomimo grzechów naszych posiadamy, niewątpliwie, wrodzony nasz wstręt do gwałtu i przesładowań nie pozwolili nam lenić się w tej ostatniej chwili; nie tracimy swej szlachetnej dostojności w imię małodusznej wygody, w imię tchórzostwa w obliczu niskiego materializmu, w imię słabości ducha. Niewątpliwie, natchnienie wniosło, które rozrzala serca nasze w ciężkich chwilach, ocali nas obecnie przed haniebnym kompromisem z jakimkolwiek z niegodnych żywiołów, czy to tu w kraju czy zagranicą, który przetrwa konflikt obecny.

Jak w naszym prywatnym życiu jako obywatele, tak i w zbiorowym jako naród musimy zawsze za swój cel ostateczny mieć Boga Najwyższego na niebiesiach, Jego Wołę Najświętszą uczynić wołą naszą własną. Jego większą chwałę uczynić naszą jedyną ambicją i celem ostatecznym. Niezawodnie nie jest to przesadna nadzieja wierzyć, że mimo znużenia obecną walką, duch człowieka zostanie oświecony nadal bohaterstwem cierpienia i wytrwałości dusz chrześcijańskich w tych zmaganiach pomiędzy światłem a ciemnością, że ostatecznie zrozumie, iż zło, które opętało ziemię, rozdziło się z chciwością, pychy, egoizmu i innych przewrotności ludzkiego serca, że będziemy oświeceni dostatecznie, aby właściwie ocenić krwawe i bezcelowe starcia ziemskich ideologii niosące klęskę wszystkim narodom i rozpętające zła coraz dalsze. Żadna ideologia, poza jedną tylko teologią nie może dać ludzkości prawdziwych i racjonalnych wskazań jak żyć życiem zbiorowym. Jest tylko jedna zdrowa filozofia życia, ta która wytryska objawiona z ducha Boga Żywego, Który nas stworzył, nas dzierży i daje nam miejsce w swoich wieczystych zamiarach.

Droga Polsko! Droga, ukrzyżowana Polsko! Nieludzkie okrucieństwo tych ciemnych oburzyło cały świat cywilizowanego człowieka. Hordy zdradzieckie i wyuzdane rozlały się po tym ukochanym kraju, niosąc zgubę twym wojskom i zadając śmierć bezlitosną i niewypowiedziane cierpienia twoim kobietom i dzieciom. Ale synowie twoi, w życiu i w śmierci stali się natchnieniem dla bohaterów; synowie twoi ginęli, odwaga niezbraną dając zdumionemu światu przykład wiary nieśmiertelnej; synowie twoi żyją i walczą na wszystkie dostępne sposoby, by stać się otuchą dla ujarzmionych i ręką mądrym zmartwychwstania Polski. Niech imię Polski żyje na chwałę Boga, i prowadzi dzieci do służby Bogu; niech Polska rozwija dalej swoją wysoką kulturę, swą szlachetność i jasną wiarę, aby oświecać nimi drogę życia dla innych narodów w przyszłych wiekach.

STANISŁAW WOJCIECH OKONIEWSKI

BISKUP POMORSKI

(Kazanie wygłoszone na mszy żałobnej w Kościele polskim w Londynie przez

J.E. Księdza Biskupa Radońskiego)

NA OBCEJ ZIEMI I WŚRÓD OBCYCH LUDZI dobiegła kresu ziemską wędrówka ś.p. Ks. Stanisława Wojciecha Okoniewskiego, pierwszego biskupa odrzonego Pomorza polskiego. Przeszło bić serce oddane Bogu i Kościołowi, gorąco kochające Ojczyznę, wrażliwe na dole i niedole bliźniego.

Zebrani około tej symbolicznej trumny, składamy hołd jego świetlanej pamięci, wnosząc serdeczną modlitwę o wieczny pokój dla jego duszy.

Ś.p. Biskup Okoniewski urodził się 20 kwietnia 1870 r. w jednej z tych rodzin mieszczkańskich, w które na szczęście obfitowała Wielkopolska w drugiej połowie ubiegłego wieku, rodzin ożywionych czynnym patriotyzmem, podejmujących swą pracę zawodową jako pracę również dla Kraju, dla uzbudzenia go na czekającą go walkę ekonomiczną na śmierć i życie z odwiecznym wrogiem.

Był bliskim krewnym otczonego powszechnym szacunkiem biskupa sufragana poznańskiego, a pod koniec życia przez kilka miesięcy arcybiskupa, Edwarda Likowskiego. Biskup Likowski, przez długie lata prezes poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, sam uczonej historii, autor kilku dzieł, humaczonych również na obszarze Kościoła polskiego, rozbudził w duszy swego młodego siostrzeńca to umiłowanie książki, które towarzyszyło ks. Okoniewskiemu przez całe życie.

Po kilku latach pracy wikariuszowskiej zostaje ks. Stanisław penitencjarzem i kaznodzieją przy archidiecezje poznańskiej. Pracuje przytem w administracji archidiecezjalnej i redaguje miesięcznik naukowy dla duchowieństwa: "Przełęgł Kościół". Znalazł się tutaj w gronie kilku zdolnych księży, których sobie arcybiskup Stablewski przysposobił u boku swego dla szczególnych zadań w życiu diecezji. Kolegami jego byli tutaj: ks. Dalbor, późniejszy kardynał i prymas; ceniony kaznodzieja i misjonarz ludowy, zmarły niestety przedwcześnie, ks. Kazimierz Michalski; ks. Klos, redaktor "Przewodnik Katolickiego" i niezrównany mówca duchowny.

W r. 1907 obejmuje ks. Okoniewski probostwo w Bninie, wkrótce potem zostaje dziekanem dekanatu średzkiego. Podczas pierwszej wojny przenosi się w r. 1916 na probostwo do Kościelca. W r. 1920 otrzymuje godność szambelana papieskiego.

Pokój wersalski przywrócił Polsce Pomorze — ziemię, bodaj najsroższą gnębioną, najbardziej poddaną bezlitosnym wpływom germanizacji, ale równie upartą w swej woli pozostania sobą — ziemią polską. Pod względem kościelnym narazem było Pomorze na działanie silnych wpływów niemieckich. Posiadało wprawdzie kler polski, ożywiony gorącym patriotyzmem, który rozumiał, że na nim spoczywa bodaj cały ciężar obrony zagrożonej ziemi rodzinnej, ale hierarchia była od lat niemiecka. I teraz biskupem był Niemiec, choć człowiek prawny, nie uprawiający żadnej polityki, ale nie zdolny wczuć się w potrzeby chwili, przytem przytłoczony już wiekiem i chorobą. W takich warunkach konieczna była zmiana. W r. 1925 mianuje Ojciec św. ks. Okoniewskiego biskupem tytularnym Podalii i koadjutorem biskupa chełmińskiego z prawem następstwa. W r. 1926 otrzymuje ks. Okoniewski sakrę biskupią, a w rok później, po zgonie biskupa Rosentretera, zostaje biskupem ordynariuszem diecezji chełmińskiej.

Rozkwita teraz pod wpływem działalności gorliwego pastera życie religijne na Pomorzu. Obok wielkich manifestacji jak kongres eucharystyczny w Toruniu w r. 1929, koronacja slynącej cudami statuy Matki Boskiej Swarzewskiej, Królowej Morza Polskiego, w r. 1937,

idzie swym torem żmudna, szara praca stałych wizytacji pasterskich, organizacja Akcji Katolickiej, przygotowanie do zadań przyszłych nowych szeregów działaczy duchownych i świeckich.

Diecezja biskupa Okoniewskiego była jedną spośród 20 polskich diecezji, sięgającą brzegów Bałtyku. Biskup rozumiał, co to znaczy. Lubił się nazywać biskupem morskim, z radością patriotycznie poświęcał port gryficki, uważał za obowiązek brać czynny udział w dorocznym dniach morza. Był też biskupem naszej marynarki handlowej.

W zacisznym swoim Pelpinie czuł się jednak najlepiej. Dobrych znalazł wprowadzał tam do swej wspaniałej biblioteki prywatnej, niestety dziś podobno doszczętnie zniszczonej. Bo on kochał książkę. Była mu przyjaciółką najlepszą i umiał ją cenić. Sam pracował naukowo, jeszcze w latach przed pierwszą wojną wydał cenną pracę: Pismo święte w dziełach Piotra Skargi. Zauważył bowiem, że Skarga cytując Biblię, posługując się własnym, swoistym przekładem. Rozpoczął tedy ks. Okoniewski żmudną pracę wyławiania z pism Skargi cytowań biblijnych i udalo mu się odtworzyć całe ustępy ksiąg świętych mieniące się cudownym, jedynym, Skargowskim językiem. Później już jako biskup poświęcał chwile wolne od pracy nad krytycznym przekładem listów św. Hieronima, rzucających tyle światła na stosunki społeczne, polityczne i religijne IV i V wieku. Władając piękną, wykwinną łaciną, był też stałym redaktorem listów konferencji episkopatu polskiego do Stolicy Apostolskiej. Tłumaczył również encyklikę papieską na język polski.

Rozmłowywał w sztuce, z wielką pieczołowitością dbał o konserwację starych zabytków, by ocalić je od zniszczenia i przydać do nich to, co dać mogli współcześni. Popierał architektów, malarzy, rzeźbiarzy. Oddany mu przez Rząd Rzeczypospolitej stary, chylący się ku ruinie zamczek komturów krzyżackich w Bierzgowie, odnowił wspaniale w duchu XIV wieku i przetrwał na dom rekolekcyjny dla diecezji. Miał w sobie coś z biskupów renesansu: wielki gest i hojność na wielkie cele. Przytem jednak należał podkreślić: był tak samo szczodry, może nieraz nad miarę, gdy go proszono o pomoc. Ofiary jego na cele publiczne, jak i jałmużny, były istic pańskie.

W początkach wojny szukał biskup Okoniewski, już choroba podcięty, schronienia, najpierw w sąsiednim Włocławku, potem dalej na wschód, aż wreszcie znalazł się w Rzymie. Krótko przed wystąpieniem Włoch, wyjechał do Francji, potem do Madrytu. Pomagał, jak mógł żołnierzom naszym, internowanym w Mirandzie. Mściwa ręka niemiecka sprawiła, że opuścić musiał Hiszpanię. Zamieszkał w Lizbonie, w skromnym hoteliku, pod opieką oddanego mu kapelana. Był już ciężko chory. Powoli dogasało życie. W pierwszym dniu miesiąca Królowej Korony Polskiej przeszedł do wieczności. Nie wrócił już, jak oczekiwał, jak pragnął do wolnego Pomorza. Niech za nim orędzie przed Bogiem. My, cośmy go znali, cenili, o duszy jego pamiętamy w modlitwie. Światłość wieki sta niechaj nam świeci. Niech odpoczywa w pokoju.

DRUGA WYSPA

POWRACAJACE

WSPOMNIENIE

(dokończenie)

Tymczasem Bartek dzielił swój czas pomiędzy wiezieniem, a szpitalem. Poodnawiał mu się otrzymane kiedyś rany. Wreszcie wezwano go do gabinetu landrata. Tam dowiedział się Bartek, że ze względu na odnowione rany może tymczasem jechać do domu. Dowiedział się również, że polski poseł z jego okręgu umarł nagle w Berlinie i że będą rozpisanie nowe wybory. Przytem landrat dodał rozkazujący: Spróbuj tylko głosić na Polaka.

Dom Bartka i ziemię kupił na licytacji kolonista niemiecki, który w ciężkich chwilach pożyczal pieniądze Bartkowi i Magdzie na lichwiarski procent.

Wywłaszczony Bartek szukał pracy u innych. Nie chcieli mu jej dać sąsiedzi: głosił przeciw Niemca, a tego się nie wybacza.

Pewnego dnia deszczowego, drogą od wsi do miasta, szło troje ludzi. Chłop pochylony, baba i dziecko. Baba szlochała okrutnie, z żalu za straconą chałupą i wsią. Chłop milczał. Na drodze było pusto tylko krzyż wyciągał zmoczone od deszczu ramiona. Robiło się ciemno. Trzy postacie zniknęły wreszcie w ciemności.

Zwycięzca spod Gravelotte szedł w świat szukać szczęścia...

* * *

— No więc co? Przepadł Bartek — zapy-

tacie — jak wielu Polaków? Jeszcze jedna smutna opowieść? Ależ my je znamy, nie robią one już na nas żadnego wrażenia — więcej nawet — mamy tego dosyć, to nas męczy!

— Dobrze, dobrze — wiem o tem. Zresztą nie mam pretensji do nikogo, że go ta historia nie wzrusza. Myślę, że nawet sam Bartek nie ma do nikogo pretensji. Przeciwnie, on się czuje nawet winnym, a ponad wszystko wstydy się, że był tak głupi.

"Nothing succeeds like success," powiadacie? Bartek też tak myślał i pomylił się. W rezultacie nie miał szczęścia i nadal go nie ma: u siebie i u obcych.

Naprzekład. Kilkadziesiąt lat temu ukazało się w Paryżu (pamiętacie: to samo miasto, gdzie Bartek po raz pierwszy przejął trochę na oczy) ukazało się powiadomienie francuskie tej historii. Wydawcy musieli przeproszać. Wiemy — pisali — że Polska jest obecnie niemożna (było to mniej więcej w epoce, gdy na Sekwanie wzniesiono słynny most Aleksandra III na cześć cesarza Rosji, w epoce gdy Francja przez alians z Rosją miała nadzieję uratować się od niebezpieczeństwa niemieckiego). Polska więc była w istocie nie modna, a wydawcy, ogłaszając historię Bartka, kierowali się wyłącznie względami artystycznej natury i uznaniem dla talentu literackiego Sienkiewicza. Te same względy i nami dziś tu kierują.

Ale może istnieją i inne, zapewne nie tak ważne, jak poziom artystyczny noweli. Naprzekład wszgąd na ewentualną chwilę refleksji. Oczywiście nie ma mowy o wyciągnięciu jakiej-

kolwiek nauki moralnej. Moralność jest przeciwieństwem nauki moralnej (tak samo jak ogień i Polska).

Jednym słowem. Bartek i jego kolezdy nie mieli racji, dając się porwać pod Gravelotte — dzwiękom hymnu narodowego!

A general Steinmetz? Czy on miał rację, gdy kazał grać orkiestrze pruskiej polski hymn, by porwać Polaków do walki? On przecież wiedział, że gdy wojna się skończy zwycięstwem, Niemcy będą się śmieli z naiwności Polaków i wezmą ich jeszcze mocniejszą ręką. A jeśli Polacy spróbują tylko protestować, powie im się po prostu: Chcieliście się bić pod Gravelotte, pod Sedanem, pod Paryżem to była wasza sprawa, wasz obowiązek. Myśmy wam za to przeciwieństwo niczego nie gwarantowali — niczego szczególnego.

Zgoda.

Tymczasem zbliżał się rok 1914 potem 1916 i 17. Niemcy chcieli jeszcze raz pobudzić entuzjazm Polaków mowami, sztandarami, orłami i hymnem narodowym. Potrzebowali Polaków. Ci jednak odmówili przysięgi na wierność cesarzom Niemiec i Austrii. Nie wystarczaly mętne obietnice manifestu dwu cesarzy, oświadczające, że pragną oni Polski silnej i niepodległej. Nie było zaufania.

Podobnie w latach trzydziestych — aż do roku 1939. Przed uderzeniem na Rosję Niemcy potrzebowali zorganizować Europę. Mieli po temu wszystkie możliwości. Zgoda Polska była potrzebna, była nawet niezbędna. Lukratywne propozycje niemieckie, robione Polsce, wzrastały z miesiąca na miesiąc. Czy były szczerze? Tego się nie da na razie ustalić.

Jedno jest pewne: Polska nieufność trwała ciągle. Przynęła inwazja. Potem terror i gwałt. Niemcy oświadczały głośno, że wszystkie okropności przez nich stosowane są niczym innym, jak aktem zemsty za to, że Polska zagroziła im drogę do zwycięstwa nad Rosją. Zwycięstwa, które w roku 1939 było jeszcze tak łatwe. Po terrorze zaczęły się nowe propozycje. Czy odrzucając je Polacy postąpili zgodnie z "racją stanu"? Tym się w tych rozważaniach nie zajmujemy. Polacy nie chcieli, bo nie mieli zaufania. Czy pamiętali Maciejowice, gdy to Prusy obiecały pomoc przeciwko Rosji, by potem z tytułu uderzyć na siły polskich powstańców? Czy może ciągle jeszcze brzmiało echo symbolicznej trąbki spod Gravelotte?

A więc tam, właśnie pod Gravelotte: Bartek był głupi, general Steinmetz, jak widać — także głupi.

Stało się rzeczą jasną, że pewne środki, tak wydane na krótką metę, nie są takimi na metę długą.

Zaufanie raz nadużyte, uderza przedewszystkiem w naiwnego, ale bardzo często powracającą falą, uderza w tego, który zaufania nadużył, w tego sprytnego.

Nieufność, raz zasiana pomiędzy narodami, wyrasta jak przeszka na drodze do przyszłych porozumień. I trzeba ciężko pracować, by ją usunąć, bo dzieła narody bardziej, niż jakakolwiek naturalna granica. Jednocześnie — przez paradoks — łącząc je we wspólnie tragedii dziejowej przeznaczenia.

Powinni to zrozumieć zarówno Polacy, jak Niemcy, jak zresztą i inni...

Z. S.

THE COMMON CAUSE

FORTNIGHTLY OF THE POLISH SECTION OF THE "SWORD OF THE SPIRIT"

EDITORIAL OFFICE: 27 GROSVENOR STREET, LONDON, W.1.

Telephone: MAY 2925

Vol. III No. 9

SUNDAY, MAY 28th, 1944

Price 3d.

JAN REMBIELIŃSKI

WIKTOR STAN

MATERIALLY THIS WILL NOT PAY

IN CONTRAST TO THE FINAL stages of the first world war and to the early stages of this war high ideals are now ever more rarely referred to to justify the present sacrifices and toil. Such slogans as freedom and equality of all nations and legal enactments binding the strong no less than the weak are now just as much out of fashion as the St. James's Conferences of the Allied Nations, which in 1941 were given such publicity . . .

The pre-invasion spirit has lately induced the papers to renew their denunciation of Nazism, but in this they are fairly reticent and try to avoid a precise definition of the crimes of Nazi Germany. What are these crimes? Is Germany first guilty of breaking treaties and her solemn pledges, her treaties of non-aggression with her neighbours in the first place? Or is she first and foremost guilty of an insatiable lust of aggrandizement, of invading other countries and incorporating them forcibly into the German Reich? Or is her totalitarian system her main crime, the lack of independent opinion and the dictatorial rule of a single party? Or should she be made primarily responsible for the godless materialism of the doctrine she has adopted, so fundamentally contrary to Christian ideals?

On the other hand both the Press and the political leaders of this country are ever more zealously preaching the gospel of material prosperity after the war and they are spreading before the eyes of the people rosy visions of comfort, freedom from want, and well-being. John Citizen is asked to admire photographs in the papers or models in exhibitions of houses, modern kitchenettes and excellent refrigerators, all of which will make life a joy after the war. Propaganda to the Nazi-occupied countries follows the same pattern: they hear little in the B.B.C. broadcasts of the restoration of their former frontiers and of their rights; their future government and its powers, the occupation zones in which they will be included are all said to be left to the decisions of the European Commission consisting of the representatives of the Big Three. But they are constantly informed of the supplies of food which the invading Allied armies will bring, of the ready-made suits prepared for clothing the ragged people of Europe. This instant relief is to be followed, so they are told, by an era of universal economic security and universal rise in the standard of living . . .

All these plans are very fine indeed, the needs are real and the desire to satisfy them is natural and understandable. Why then, it may be asked, are they not greeted by an excess of enthusiasm either by the British people themselves or by conquered Europe? Why are people left cold by the prospect of ideal refrigerators? And why even the vision of a perfect kitchenette cannot instil some warmth in their hearts?

It would seem that such a unanimous reaction is, as it always is, not without a good reason, and that this diffidence is a proof of the commonsense of the British people on the one hand and of the cool judgment of the old nations of Europe on the other. Indeed, this reaction shows that on both sides of the Channel people consciously or instinctively understand the great changes which modern technical progress must bring in its wake after the war, and thus also in the sense and purpose of the present struggle.

For thousands of years, in primitive societies, war was the best possible business. With a minimum investment in arms, carts and horses, the victor could collect a handsome reward from the defeated enemy, return home with a huge load of loot and with hosts of prisoners to work for him in crafts or on the land. The inexpensive raids of

Every personage and every historic fact, once penetrated into the collective memory, is changed there into a teaching, a notion, a symbol; then receiving a special sense and becoming an element in the society's system of ideas.



Drawing by Jean Geddes

(Maurice Halbwachs "Les Cadres Sociaux de la Mémoire")

BARTEK SLOWIK was tall and hefty, with flaxen hair and eyes that bulged when people spoke to him. His neighbours called him the village idiot.

Since the time when Henry Sienkiewicz wrote Bartek's life, everyone has come to know our hero as the conqueror of Gravelotte and Sedan. The story was translated into several languages and carried news of the warrior's glory far and wide — the glory of his strength, his courage and his stupidity. . .

But let us begin, with Sienkiewicz, at the beginning.

It was in 1870, in a small western Polish village under German domination, that Bartek had his bit of ground, two cows and a horse. He also had a wife, Magda, and a son, Francis.

small piratical frigates brought in as return the wealth of over-seas kingdoms. For many years war was the most efficient remedy of the economic ills of the state, a means of filling its chest and the highroad to prosperity for large sections of its people.

Today the position is exactly the reverse. The modern technical progress has increased the cost of war to sums unheard of previously. According to the last Budget, Britain alone will be spending more than £15,000,000 a day on the war. The other Great Powers are spending similar sums or even higher. This budgeted expenditure does not include the losses caused by bombardment or enemy occupation, the loss of substance caused by insufficient maintenance and resulting from the diminishing capacity of people for work.

Every reasonable man realises that these staggering losses (which are increasing every day) cannot be made good even in part by reparations imposed upon the defeated enemy, even if he would agree to unconditional surrender. Every man in his senses knows that after this war both victor and vanquished will discover that they live in an impoverished and ruined world and conditions much more difficult and much more severe than those which prevailed

He lived in sight of God and when God gave war it meant leaving all this and the cottage behind him.

"Woe betide us!" wailed Magda, "You've always been daft, my poor man, but I loved you just the same . . . and the French'll cut off your head, you see if they don't, maybe worse . . . how should I know?"

The reservists boarded the train. The whistle blew.

"Keep well, Bartek!" shouted Magda once again.

In the train there was a moment's silence, then the men started chatting.

"What sort of people are the French?" our hero asked his friend Woitek.

"What sort of people? Well . . . they're a sort of Germans, only worse than the Prussians."

"Oh the —!"

Then Bartek wanted to know why the Polish peasants were being sent to fight the French.

"You see," it was explained to him, "if we don't go to them, they'll come to us. Nothing can be done about it . . . you've read what the Germans say, how furiously they're against the peasants. D'you see? And they love women . . . like our dogs love fat."

Bartek immediately had visions of Frenchmen making love to his dear Magda. He even dreamt about it in the night.

☆ ☆ ☆

They were nearing the front line. This might have been guessed by the generosity of beer and hot sausage rations, which was such that the peasants came near to thinking the Germans good chaps.

The battle of Gravelotte. At the beginning Bartek was scared, but his pal cheered him up by saying that the world would not perish if there were one less idiot alive in it. And this reassurance calmed our hero.

"With bayonets . . . charge!"

In the midst of thundering guns and violent rifle-fire, out of the smoke a Prussian bugler began to play the Polish National Anthem:

"Poland is not yet lost . . ."

"Hurrah!" yelled the Polish peasant soldiers, and they took up the refrain:

"as long as we live! . . ."

There was no more thought of death, they hurled themselves like a hurricane against the French. Over the corpses of horses and men, they went.

At the foot of the hill, old General Steinmetz smoked his pipe and remarked with a smile:

"Yes, yes. One only has to play that tune and in no time the fellows will be at the top!"

Bartek ran into three Arabs, the flag-bearers, but his fear had gone, he was capable now of taking the devil himself by the horns, and beat back one Arab after another in fierce encounter; finally they fled from the bulging-eyed giant,

where values are assessed by different standards.

If from this blood-bath a better and more honest world emerges, if there will be less falsehood, lawlessness and brute force, then and only then will this war have any sense and the sacrifices it entails will be made not in vain. Similarly only those nations who will emerge from the war with a feeling that they fought for a just cause, that they have honoured their pledges and promises, with their reputation untarnished by any betrayal will know that from this terrible contest they have reaped some real and unmistakable advantage. Only this feeling will allow them to stand up to the toil and poverty of the post-war period, when the staggering losses inflicted by the war will have to be made good by hard work.

If a simple calculation leads to such conclusions, one more may be drawn. It is that those who remember the moral purpose of this war are greater realists than those who think they may well forget it and dream about the comforts of post-war life. Actually those who think that one can afford to have the morals of Huns and Vandals and find a justification for the war in fictitious material advantages are the greatest "romantics" of our time.

where values are assessed by different standards.

If from this blood-bath a better and more honest world emerges, if there will be less falsehood, lawlessness and brute force, then and only then will this war have any sense and the sacrifices it entails will be made not in vain. Similarly only those nations who will emerge from the war with a feeling that they fought for a just cause, that they have honoured their pledges and promises, with their reputation untarnished by any betrayal will know that from this terrible contest they have reaped some real and unmistakable advantage. Only this feeling will allow them to stand up to the toil and poverty of the post-war period, when the staggering losses inflicted by the war will have to be made good by hard work.

If a simple calculation leads to such conclusions, one more may be drawn. It is that those who remember the moral purpose of this war are greater realists than those who think they may well forget it and dream about the comforts of post-war life. Actually those who think that one can afford to have the morals of Huns and Vandals and find a justification for the war in fictitious material advantages are the greatest "romantics" of our time.

yelling things among which Bartek clearly distinguished the words Magda! Magda!

This spurred him to fight more furiously than ever. He felled the Arabs, captured the flag, destroyed some French Zouaves and jumped on to a gun as though it were his own horse in the village. The German bugler continued playing the anthem.

When the battle was over and victory complete, the German general examined the flag, and spoke in a friendly way with Bartek, whom he decorated with a cross and talked of promoting. An officer protested that he was too stupid; to test the truth of which General Steinmetz asked Bartek a question:

"Who won that battle?"

"Me!" replied the hero, delighted with his success.

He was, in fact, too stupid . . . or was he? It seems probable, but for reasons that certainly never entered the general's head. Yet the policy of General Steinmetz — one that is used so often by the Germans — may not perhaps have proved so intelligent.

Meanwhile Bartek went from one victory to another, was decorated with crosses and medals, praised by generals—even the great Moltke is supposed to have chatted with him — so that, as you may imagine, he considered himself the equal of any German, or better. Who, after all, had seen one of them with a chest more liberally decorated than his?

The Polish regiment was withdrawn from the front; Bartek wanted to stay, so he was transferred to a German one. Under the walls of Paris an incident occurred which would have made him really stop and reflect, if his heroic head had been capable of reflection. Some companies of his new regiment were sent one day against a battalion of riflemen. The latter, who were surrounded but who fought tenaciously, were old soldiers, the debris of a regiment of the Foreign Legion. They knew what was in store for them—all soldiers who were carrying arms when captured and were not in the regular French army uniform were to be shot.

Bartek was left to watch over two of these riflemen captured by the Germans, and he received a nasty shock. His two prisoners were speaking Polish.

"Yes," said one, "I thought the Germans would be beaten, and that the Poles in the west would be in a happier position."

"I thought so too," said the other, "but now . . ."

Bartek was tormented by strange feelings. He, damn it, was fighting the French for the same reason. A voice called to him to save his compatriots. First he felt like running away, but his uniform held him back. A soldier running away? Couldn't be done. His moral suffering was greater than ever before.

"Jesus," groaned something in his chest, "Oh Jesus!"

The torture could not be borne. Another second and he would have shouted to his captives that he was Polish too. And they would all have climbed out of the window and escaped into the forest.

"They will be done."

But rhythmic steps could be heard. A petty officer in charge of a patrol was coming to relieve Bartek of his guard.

☆ ☆ ☆

The war finished, our hero returned proudly home.

Old Matthew, during the first conversation in the bar, remarked:

"Oh, they've won this horrible war, the damn Germans, and we helped them. God knows what the result will be." He went on to predict blacker things than ever for the Poles.

Bartek was astonished and scandalised; he protested. But the vision of two Polish riflemen shot near Paris returned to haunt him. And times that were approaching held greater surprises for him than the opinions of old Matthew.

One day son Francis returned from school in tears; Herr Boegge the schoolmaster had struck him in the face. The reason for this piece of brutality was a certain difference in their sense of appreciation. Herr Boegge had asked the children to name the greatest of all men. The reply given by Francis did not suit the taste of the master. When the question of great men arises, there is always trouble of course.

Since the Germans had been victorious against the French, Herr Boegge was so proud that he let himself go completely. The conqueror of Gravelotte, who was much more responsible for this victory than the German schoolmaster, went forthwith to find out what had happened with his son. A conversation ensued which developed into an individual battle, and later into a general battle of the village, with the German colonists fighting alongside Herr Boegge, and the Polish villagers alongside Bartek. Finally the scandal broke out in the Press. The schoolmaster was considered as a victim of Polish barbarism and Catholic fanaticism. All the German papers sang praises of the judge's lenience in giving the Polish aggressor only three months in prison and a fine to pay. It must be admitted that there were questions asked in parliament. At this time, remember, Germany was a democracy with a parliament. When the Polish deputy made his speech of protest against the persecution of his fellow-countrymen it was raining outside, a thing which often makes people sleepy; the Conservatives yawned, the Liberals yawned; even the Socialists yawned . . . and parliament passed on to the next item on the agenda.

At this time Bartek's days were divided between prison and hospital. His war wounds were being troublesome again. In due course he was called before the local landraht, or German overseer, and told that he could return home on account of illness. He was also told that the Polish deputy in Berlin had died suddenly and that there would be new elections in the village. The landraht added in a threatening tone of voice that he should just try voting for the Polish candidate and he would see what would happen. . . .

Bartek did not try. He was worn out by war, by prison, by wounds and illnesses; he was ruined by his long absence and by the fine he had to pay; his cottage and ground had just passed into the hands of a German colonist who had acted as his moneylender in times of need. Patrimony gone, he looked for work, but was turned down by his neighbours—after all he had voted for the German candidate, and that was a sin which could not be forgiven.

One evening three people were seen on the road from the village; a peasant, a woman and a child. Cold rain was falling. The man's back was bent like an old man's, the woman's face was turned towards the village and she wept, the child shivered as he trotted alongside. Over the empty road were spread out the arms of a wooden cross, wet in the rain. Night approached and the three people disappeared into shadow.

The conqueror of Gravelotte and Sedan had gone to town to seek his fortune.

☆ ☆ ☆

"So what . . . Bartek was sunk?" you ask. "Another Pole gone west? Another sad story? But we know them, we've got used to them, in fact we've had enough of them."

(Continued on next page)

Mgr. ALBAN ATKINS

VICAR GENERAL OF THE ARCHDIOCESE OF LIVERPOOL

LET US PRAY FOR POLAND

(Sermon preached on May 3rd, 1944, at Liverpool Pro-Cathedral)

TODAY YOU POLISH MEN rightly turn to our dear God in humble sincere prayer: you implore His Divine guidance, you offer some requital to His outraged Majesty.

No nation has been so overwhelmed with bitter suffering as has Poland, no nation has been so much the innocent victim of ruthless sadistic suppression. Let us pray today that Poland may be the object of men's tenderest understanding and sympathy; as she was first to feel the ignominy and brutality of the so-called master folk so may she be the first to be honoured and given a fair and lasting place among the nations. It has been truly said that the treatment of Poland in world-reconstruction is to be the test of sincerity, if there is to be found a right conception of justice among those noble minded men who will shortly order and consolidate the peace of the world.

We have lived through incredible days, and we are entitled to ask why and to what purpose. But let us say first that there has not been wanting a voice of warning. This universal evil thing which we call the war may be essentially just plain greed and pride and political aggression in its origin: but the cancer is deeper, it has its roots in national apostasy and exaggerated nationalism. It is wickedness in the heart and mind of men before it can become a menace, up in arms against the clean and decent lives of other men. Time and time again within the last 100 years have the voices of the popes been raised to warn, to admonish, to point with horror at the rising tide of materialism, condemning the immorality of putting national aggrandisement beyond the pale of God's moral law. The answer to the question, "What has happened?" is not an easy answer; but it is a simple one—it is because of the departure from the Christian way of life.

It is no accident that this frightful war befell the world. We are not victims of circumstances, as though war were an epidemic blighting moral fibre and stupefying the brain of man. It is not just an unhappy stroke of fortune that has turned national leaders from what moral principle they had to turn

to plunder and rapine, yes and even to common rape. It is just the ugly head of coarsest materialism refined by a twisted perverse immoral philosophy, wicked just because it has excluded the most wise and most beautiful and most holy calculation of Almighty God. This war, as something thrust upon us, is an appalling contradiction of the spirit of Christ, who made it His business to dwell among us to lead us finally to heaven.

War creates a thousand ancillary evils, both physical and moral. We are witnessing an insensate desire for revenge, an unchristian thing: we are conscious of discontent and loud-voiced grievances as though there were not sufficient problem enough in our major campaign. Yet not always without justice: even in this our own dear land where the old evils of bad housing and bad working conditions are contrasted with the nation's will and energy to suppress another and more threatening evil, our finest men have been forced to use the one ruthless and vicious weapon they have at hand, to earn just treatment. We are seeing a bitter struggle arising from a clash of loyalties, resolving itself only too often in contempt and abuse of every form of authority except that which promises to ensure material well-being. This unhappy condition among us is not due to bad will, at least in the main: it is due to human incompetence, to the lack of enlightened and far-seeing intelligence in social and industrial legislation. But it makes one wonder how those who failed in the past are to succeed in the future. The immediate prospect is not too pleasant, for the things of the spirit are already at a discount. Men are dreaming futile dreams of Utopia, as though this agony and strain of war had eliminated from their nature that initial weakness that lies in us all, original sin. Men are talking, and talking of acting, as though war has this purifying blessing, that through enduring its awful cost in grim and brave determination they should be rendered free angelic beings. Alas we have yet to endure: we have yet to wrestle in our own hearts, as individuals, as a nation, as a brotherhood of

nations with the very wickedness and weakness that arise from our own graceless condition: in St. Paul's words too we have to wrestle against the spirits of wickedness in the high places (Eph. vi, 12).

Not only must right reason remain, and common justice and common charity, but there is still now the same essential need in world-reconstruction as there always was, of the grace of God, to put true wisdom into men's minds, to put goodness into their wills, to add sweet softening kindness to men's hearts, lest in their fine exact calculations the weak should perish, lest in any small degree evil should triumph, lest the glory of God be obscured.

No nation can rejoice as Poland can rejoice already emerging from her tragic mourning because the pleasant days of peace are in sight. No nation has such reason to thank God for His final providence and for the courage and endurance of our fighting men. But, in the words of Pope Pius XII: "Our dear Poland has a right to the generous and brotherly sympathy of the whole world"; and maybe no nation has such reason to feel a pang of misgiving lest, not yet, justice and equity be triumphant over oppression and the miserable worldly spirit of compromise.

What is to be done? Oh let this grand prayer be on our lips: Come O Holy Spirit, fill the hearts of Thy faithful, and kindle in them the fire of Thy love: send forth Thy spirit, and Thou shalt renew the face of the earth. Unwillingly, almost against our better judgment, but finally honestly in God's sight, we were forced to take up arms in defence of our honour and our rights, and primarily, to the eternal credit of this land which gives you succour and shelter, to the immediate defence of outraged Poland. Surely our fine sense of honour notwithstanding our sins, surely our innate horror of violation and oppression is not at this last moment to become an idle thing or lose its honourable dignity, because of mere expediency, because of cowardice in the face of lowminded materialism, because of meanheartedness. Surely that lofty inspiration that kept our hearts aglow in dark days shall preserve us now from dishonourable compromise with whatever unsavoury elements, within or without, that may survive this conflict.

As in our private lives as citizens, so in our communal life as a nation we need always to have God's high heaven as our goal, God's most holy will as our will also, God's greater glory our one ambition and final end. Surely it is not beyond hope that men's minds though wearied with the strife will be still further enlightened by the heroic sufferings and endurance of Christian souls, in this conflict between light and darkness: enlightened finally to see that the wickedness that has beset the world was born of greed and pride and selfishness and other inglorious perversions of the human heart: enlightened enough to witness and properly evaluate, with some heart-searching, the bitter and fruitless clash of earthly ideologies, to the detriment of all peoples, and the unloosening of further evils. No ideology less than true theology can give mankind a true rational appreciation of this business of living together. There is but one sound philosophical basis of true living and it springs from the revealed mind of the living God who made us and owns us and has eternal designs for us.

Dear Poland! Dear crucified Poland! The ruthless cruelty of your oppressors has revolted the whole world of civilized men: wanton and treacherous hordes have sprawled over your beloved land, and have poured destruction on your armies and dealt pitiless death and unspeakable suffering to your women and your children. But your sons in living and in dying have been an inspiration to heroes: your sons have died with incredible courage to give a glorious example to a stricken world of faith undying: your sons live on and fight on, yes in every conceivable form of warfare, to be an encouragement to the downtrodden and a pledge of Poland's resurrection. May Poland's name live to praise God and raise up children to serve God: may Poland continue with its high culture, and its nobility and its bright faith to lighten the way through life for other nations in the ages to come.


 STANISLAW WOJCIECH OKONIEWSKI

THE BISHOP OF POMERANIA

THE SERMON PREACHED BY BISHOP RADONSKI

after memorial mass in the Polish Church in London

IN A STRANGE LAND AND AMIDST FOREIGN people came the end of the earthly life of Stanislaw Wojciech Okoniewski, first Bishop of Pomerania in restored Poland. The heart which was given to God and the Church, which fervently loved his Fatherland and was deeply susceptible to the fortunes and misfortunes of his fellow creatures, has ceased to beat.

Gathered around this symbolic bier, we pay homage to his bright memory, and raise a heartfelt prayer for eternal peace for his spirit.

The late Bishop Okoniewski was born on April 20th, 1870, in one of those city families in which Greater Poland fortunately abounded in the second half of last century, families animated by an active feeling of patriotism, doing their professional work also as work for their country, to arm her for the life-and-death economic struggle awaiting her with her age-old enemy.

He was a near relation of the universally revered Suffragan Bishop of Poznan, Edward Likowski, who became Archbishop in the last months of his life. Bishop Likowski, who was for years chairman of the Poznan Society of Friends of Learning, an historical scholar and the author of several publications on the history of the Church in Poland, which were translated into several foreign languages, aroused in his young nephew a love of books which accompanied him throughout his life.

After several years of work as a vicar, Father Stanislaw was appointed penitentiary and preacher to the Archepiscopal See of Poznan. He also worked in the archidiaconical administration and edited a scholarly monthly for the clergy called "Church Review." Here he came in contact with a group of several able priests whom Archbishop Stablewski had trained for special tasks in the diocese. His colleagues here were Father Dalber, later Primate, the highly-esteemed preacher and missionary; Father Kazimierz Michalski, who unfortunately died a premature death; and Father Klos, editor of the "Catholic Guide" and an unequalled clerical speaker.

In 1907 Father Okoniewski took over the parish of Bnino, and shortly afterwards became dean of the deanery of Sroda. During the first world war, in 1916, he was transferred to be vicar of Koscielce, and in 1920 he received the honour of being appointed Papal Chamberlain.

The Versailles peace restored to Poland Pomerania—a land which had been most cruelly oppressed and subjected most thoroughly to a pitiless campaign of Germanization, but confirmed in its will to remain itself—a Polish land. From the point of view of the Church Pomerania was exposed to the action of strong German influences. It is true that it possessed a Polish clergy filled with fiery patriotism and understanding that on them lay almost the entire burden of defending their threatened native land, but the hierarchy had for years been German. And now the bishop was a German, though a man of law and no politician, but incapable of sensing the needs of the time and overwhelmed by age and illness. In such conditions a change was essential. In 1925 Father Okoniewski was appointed titular bishop of Podalia and coadjutor of the Bishop of Chelmo with the right of succession. In 1926 he received the bishop's sacrament and a year later, after the death of Bishop Rosentreter, he became Bishop in ordinary of the diocese of Chelmo.

After this religious life began to flourish in Pomerania under the influence of the zealous activities of its pastor. Side by side with such

great manifestations as the Eucharistic Congress held in Torun in 1929, and the coronation of the miraculous statue of Our Lady of Swarzew, Queen of the Polish Sea, in 1937, went the hard, everyday work of constant pastoral visitations, the organization of Catholic Action, and the preparation of new clergy for tasks to come.

The diocese of Bishop Okoniewski was the only one amongst the twenty Polish dioceses to run along the Baltic coast. The Bishop understood what this means. He liked to call himself the Maritime Bishop, blessed the port of Gdynia with joy, and considered it a duty to take an active part in the maritime festivals. He was also the Bishop of our Mercantile Marine.

But he liked best of all to be in his own secluded Pelpin. There he took his friends to see his magnificent private library, which has now, it seems, been completely destroyed. He loved books, they were his best friends, and he knew their value. He went on with his scholarly work, and even before the first world war had published a valuable work entitled "The Bible in the works of Peter Skarga." For he considered that when Skarga quoted the Bible, he made use of his own translation. Therefore he began the trying work of picking out all Bible quotations in Skarga's writings, and succeeded in re-creating whole passages of Holy Writ in the wonderful, robust language of Skarga. Later on, when he was a bishop, he devoted his free time to the production of a critical translation of the letters of St. Jeremy, which threw so much light on social, political and religious conditions in the fourth and fifth centuries. As he had a fine and elegant Latin style, he was also the permanent editor of the letters from the Conference of Polish Bishops to the Apostolic See, and translated the Papal Encyclicals into Polish.

Art was one of his loves, and he attended with much solicitude to the preservation of ancient monuments and relics, to preserve them from destruction and add what was good of contemporary workmanship. He patronised architects, painters and sculptors. The Polish Government handed over to him the old, ruinous castle of the Teutonic Knights in Bierzgowia; he renovated it magnificently in the spirit of the sixteenth century and turned it into a house of retreat for the diocese. He resembled the Renaissance bishops in his ability to make a grand geste and his generosity for great purposes. But here it should be emphasised that he was just as liberal, sometimes perhaps to excess, when he was asked for help. Both his offerings for public aims and his almsgiving were truly lordly.

At the beginning of the present war Bishop Okoniewski, already a sick man, sought shelter first in the neighbouring Wloclawek, then further east, until he finally arrived in Rome. Shortly after his appearance in Italy he travelled to France and then to Madrid. He did what he could to help our soldiers interned in Miranda. The vengeful hand of Germany forced him to leave Spain for Lisbon, where he lived in a modest hotel with a chaplain to look after him. He was already gravely ill, and slowly his life ebbed away. He died on the first day of the month of Our Lady, Queen of the Polish Crown. Now he will not return to a free Pomerania, as he longed to do. May Our Lady intercede for him before God. Let us remember him in our prayers, who knew him and his works. May the light of the ages shine on him, and may he rest in peace!

A RETURNING MEMORY

(Continued from previous page)

"All right, all right. I know. Besides, I'm not blaming anyone for not being moved; neither I'm sure would Bartek. On the contrary, he would blame himself, and be ashamed, besides, of his stupidity.

"Nothing succeeds like success," you say. Bartek thought so too and was mistaken. In the end he did not succeed, and continued not succeeding, in his own country as well as in others. For example . . . Some tens of years ago there appeared in Paris (the same city you will remember where, for the first time, Bartek saw a little more clearly) the French translation of his history. Well—the publishers excused themselves. We know, they said, that Poland is not in fashion just now (it was at the time when the famous bridge Alexandre III was built over the Seine in honour of the Russian Tsar, and when French policy contained the hope that alliance with Russia would insure against the German danger). It was true, Poland was not in fashion, and the publishers it seems were persuaded to produce Bartek's story exclusively for artistic reasons, and in recognition of Henry Sienkiewicz's literary talent. We have been persuaded to bring up again the same story for exactly the same reason. But we have another reason too, although certainly less important than the recognition of artistic merit; a reflection to be made—obviously without drawing morals, which is as much out of fashion now as Poland was in the past.

Briefly, Bartek and his companions were wrong to get so worked up when they heard their national anthem. But was General Steinmetz right in having it played? Was he right in exciting that enthusiasm? He knew quite well that when the war came to a victorious conclusion the Germans would laugh at Polish simplicity, and grasp the Poles in an even firmer hold. If they objected, the reply was obvious:

"You wanted to fight at Gravelotte, Sedan and Paris. That was your business, if not your duty. After all, we didn't promise you anything—anything particular.

Right.

Now came the year 1914, then 16 and 17. The Germans tried very hard to rouse that Polish enthusiasm once again, with

speeches, flags, the White Eagle and the national anthem. They needed the Poles. But the Poles were distrustful. The soldiers refused to swear loyalty to the Emperors of Germany and Austria. The vague declarations contained in the manifesto of the two emperors that they wanted a strong and independent Poland, failed to make an impression.

Similarly from 1930 to 1939. Before attacking Russia the Germans needed to organise Europe. They appeared to have all the possibilities. Polish co-operation was necessary, indispensable in fact. The number of lucrative propositions received by Poland multiplied daily. Were the Germans sincere? Impossible for the moment to establish. What is, however, quite clear is the fact that Polish distrust continued. The invasion came, followed by terrorism and violence. The Germans declared openly that all their atrocities were simply acts of vengeance. Poland had barred the road to victory over the Russians—so easy of achievement in 1939. After the violence, propositions started up again. In rejecting them, were the Poles acting in accordance with their "raison d'Etat?" Beside the point, they were still distrustful. Perhaps they remembered Maciejowice, when the Prussians had promised to help the Polish insurgents against Russia and finally struck them from behind. Or perhaps the echo of that bugle of Gravelotte still hung about.

Speaking of Gravelotte—Bartek was stupid, and, as we can see, General Steinmetz too. It is evident that certain means, which are extremely efficacious and clever in the short run, are not so in the long run.

When confidence between two peoples is abused, the naive one is first to be hit, but often the wave swings back and strikes the other who did the abusing. When distrust is sown between two peoples, even if only once, it rears up later and blocks the road to any future agreement. Every effort must be made to avoid this thing which divides people more than natural frontiers, but which also, paradoxically, links them in a common tragedy of historical fate.

All of which should be understood as much by the Poles as by the Germans, and—for that matter—by everyone else. . . .

THE POLISH RED CROSS IN BRITISH EAST AFRICA

THE WORK OF THE POLISH RED CROSS FOR the many thousands of Polish exiles who found refuge in British East Africa (after they were evacuated from Soviet Russia to which they were deported during the Soviet occupation of Eastern Poland) is reported at length in one of the latest issues of the weekly "The Pole in Africa."

Of more than a million people deported to Russia in 1939-1941 only a few scores of thousands of civilians have succeeded in reaching Africa in the autumn of 1942. They no longer feared imprisonment, starvation and persecution, but one great anxiety still filled their hearts: they had to find their fathers, mothers, husbands, brothers and sisters or children. Anxiety for the next of their kin was their main worry. Here the Polish Red Cross came to their rescue: it had developed its merciful activities as soon as the stream of refugees reached Iran, just outside the frontiers of the U.S.S.R.

The Polish Red Cross in Nairobi in Kenya is directed by Prince Eustace Sapieha, a former Minister of Foreign Affairs and former Polish Ambassador in London, who organised a special section for tracing missing relatives. The index cards in this section include more than 20,000

names and they are based on data collected from 90,000 letters written by refugees with requests for information about their relatives. By now the Red Cross has succeeded in finding the whereabouts of 800 of the people looked for.

Furthermore the Polish Red Cross acts as intermediary for the correspondence of the refugees with Polish prisoners of war in Germany and with relatives in Poland. In every Polish centre in Africa the Red Cross has its representatives, usually a young and energetic woman.

The Red Cross also carries on welfare work: in Manira it organized a rest centre for old people; in Njoro, Kenya, a sanatorium for 200 cases of T.B. was opened owing to the generosity of Lord Egerton, who offered his house for the purpose and financed the building of additional pavilions on his estates. Additional funds were raised in the Belgian Congo by Colonel Zagorski, who had been a resident there for many years, and in Kenya by English settlers.